

Jej serce już nie
jest złamane,
a obiecała innemu
mężczyźnie.

WSCHODNIE ŚWIATŁA

KOMPAS  #2

BRITTAINY C. CHERRY



Tytuł oryginału

Eastern Lights

Copyright © 2021 by Brittainy C. Cherry

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2023

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Sandra Pętecka

Korekta:

Maria Kąkol

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-251-8

BRITTAINY C. CHERRY

**WSCHODNIE
ŚWIATŁA**

KOMPAS #2

**TŁUMACZENIE
KATARZYNA DYREK**

OŚWIĘCIM 2023

*Do samotnych:
Abyście znaleźli w sobie miłość tak silną, by nawet wtedy, gdy nikt
nie będzie Wam towarzyszył, daleko Wam było do samotności.*

*Najstraszniejszą bolączką jest samotność i poczucie, że nie jest się
kochanym.*

– Matka Teresa

PROLOG

Connor

Osiem lat temu

Siedemnaście lat

Każda wspaniała opowieść rozpoczyna się od słów: „Dawno, dawno temu”. Choć historia wcale nie musi być znakomita. Te przeciętne również zaczynają się w ten sposób. Przynajmniej tak rozpoczyna się moja.

Dawno, dawno temu pewien chłopiec panicznie bał się utraty ukochanej osoby.

Miałem kiedyś nauczycielkę, która nauczyła mnie, że w życiu istnieją dwie rzeczy, na które bez względu na ogrom starań człowiek nie zdoła się przygotować, a mianowicie: miłość i śmierć.

Nie zaznałem romantycznej miłości, lecz wiedziałem, co to miłość między rodzicem a dzieckiem. I to właśnie dzięki temu uczuciu doświadczyłem strachu przed śmiercią. Najwyraźniej przez ostatnie kilka lat pływiałem się w smutku, który pojawił się znikąd. W ogóle nie byłem na niego przygotowany. Nieustannie wpisywałem do wyszukiwarki internetowej myśli, jakich nie powinno mieć żadne dziecko.

Co się stanie, jeśli umrze jedyny rodzic?

Jak duże jest prawdopodobieństwo, że człowiek wyzdrowieje z chorobą nowotworową, która jest w trzecim stadium?

Ile trzeba zarabiać, żeby opłacić leczenie eksperymentalne?

Dlaczego nie wszystkie osoby, które mają raka, są tak samo leczone?

Nie wspominając o tym, na ilu posadach chciałem pracować, aby pomóc mamie opłacać rachunki. Założyłem nawet kilka własnych działalności, bylebyśmy mogli związać jakoś koniec z końcem. Mama nienawidziła tego, że tak dużo pracowałem. Ja natomiast nienawidziłem tego, że miała raka. Nazywaliśmy to „równomierną nienawiścią”.

Przed światem przywdziewałem maskę odwagi, jak zawsze starając się być czarującym. W małym miasteczku wszyscy wiedzieli, że jeśli chcieli się pośmiać, pogadać z przyjacielem, czy potrzebowali sumiennego pracownika, mogli liczyć na mnie. Przepęniała mnie duma, ponieważ byłem ciężko pracującym klasowym klaunem. Do licha, potrzebowałem tego, bo jeśli się nie wygłupiałem albo nie tyrałem jak wół, przesadnie wszystko analizowałem. A jeśli poważnie się zamyślałem, tonąłem.

Nikomui nie wyjawiałem swojego bólu. Uznałem, że jeśli ludzie poznają ogrom mojego cierpienia, będą się o mnie martwić, a nikt nie musiał się o mnie troszczyć – zwłaszcza mama. Miała wystarczająco własnych problemów na głowie i nie musiała przejmować się tym, że się o nią troszczę. Mimo to i tak się o mnie martwiła. Podejrzewam, że matki tak po prostu mają, jeśli chodzi o ich dzieci. Usilnie się zamartwiają.

Nasza relacja to niekończąca się pętla troski. Mama była w niej moją wierną towarzyszką – martwiliśmy się wzajemnie o siebie. Nieustannie.

– Możesz wejść ze mną – powiedziała, gdy siedzieliśmy w poczekalni przed gabinetem lekarskim. – Dwa razy przechodziłeś ze mną przez kolejne etapy, więc bez względu na wszystko chcę, byś był tam ze mną.

Z trudem przełknąłem ślinę i pokiwałem głową. Nawet jeżeli nie chciałem tam wchodzić, nigdy nie zostawiłbym jej samej.

Nie podobał mi się zapach w poczekalni. Stanowił mieszaninę naftalinowych kulek na mole oraz miętowych landrynek. Lata temu, gdy u mamy po raz pierwszy zdiagnozowano nowotwór,

siedząc w poczekalni, napychałem sobie kieszenie cukierkami. Teraz, gdy poczułem ich woń, chciało mi się rzygać.

Czekaliśmy na wizytę u doktora Berna, aby przedstawił wyniki ostatnich badań. Lekarz sprawdzał, czy chemioterapia zadziałała, czy też mama miała przerzuty rozsiane po całym ciele. Chyba nie muszę dodawać, jak bardzo się denerwowałem.

– Pani Roe? Zapraszam do środka – powiedziała pielęgniarka, obdarzając nas uśmiechem.

Nawet jeśli mama wiele lat temu rozwiodła się z tą szumowiną, którą był mój ojciec, pozostała przy jego nazwisku. Namawiałem, by wróciła do panińskiego, ale twierdziła, że z nazwiskiem po mężu wiązała się najlepsza rzecz pod słońcem, a mianowicie – ja. W dodatku bardzo podobało jej się to, że oboje nazywaliśmy się tak samo.

Mama była bardzo uczuciowa.

Weszliśmy do gabinetu, przy czym nie spodobało mi się, że wszystko było w nim tak znajome. Nikt nie powinien czuć się u lekarza jak we własnym domu. Nienawidziłem czasu, gdy jako dziesięć-, jedenasto- i dwunastolatek siedziałem w poczekalni, w której musiałem również przebywać, gdy miałem piętnaście, szesnaście i siedemnaście lat.

Trzynasty i czternasty rok mojego życia to naprawdę wspa-
niałe lata, kiedy byłem naprawdę szczęśliwy, a smutek prawie nigdy nie nawiedzał mnie w nocy. Wszystko, czego pragnąłem na przyszłość dla siebie i mamy to więcej takich cudownych lat.

Denerwowały mnie wspomnienia związane z tym miejscem. Nienawidziłem tego budynku i wszystkiego, co się w nim znajdowało, od zdezelowanych krzeseł po ostre światło jarzeniówek. Wykładzina miała plamy, które powstały prawdopodobnie jeszcze w latach dziewięćdziesiątych i istniała spora szansa, że doktor Bern miał dwieście lat. Koleś jednak nie wyglądał na więcej niż sto. Musiałem przyznać, że dobrze się trzymał.

Mama nigdy nie narzekała. Naprawdę przenigdy się nie skarżyła. Była wdzięczna, że ma troskliwego lekarza, nawet jeśli firmy ubezpieczeniowe miały ją gdzieś. Zastanawiałem się, jak leczą się bogacze. Czy w ich poczekalniach stoją ekspresy do cappuccino? A może minilodówki z napojami gazowanymi? Czy przed poddaniem kuracji pytano ich o dowód ubezpieczenia?

Czy recepcjonistki taksowały ich wzrokiem, gdy słyszały, że należą jedynie do rządowego programu socjalnego?

Czy nowotwory znikają z ich ciał szybciej, niż działo się to w przypadku biedaków?

Jak inaczej potoczyłoby się życie mamy, gdybyśmy mieli więcej pieniędzy?

Usiedliśmy.

Dostałem mdłości.

– Zajmij głowę pozytywnymi myślami – poleciła mama, ścisnąc moje kolano, jakby wiedziała, że osuwam się w stronę zwątpienia i gniewu. Nie miałem pojęcia, jak to robiła, skąd wiedziała, że mój umysł zaczyna odpływać. Zawsze jednak zdawała sobie z tego sprawę. Przypuszczam, że to matczyzny dar.

– Wszystko w porządku. A u ciebie? – zapytałem.

– Też.

Mama nawet jeśli nie czuła się dobrze, kłamała, bo nie chciała mnie denerwować. Nigdy tego nie rozumiałem. Kobieta przechodziła przez nawrót nowotworu, a nadal bardziej martwiła się o moje samopoczucie niż o swoje własne.

Domyślałem się, że matki takie już są – to superkobiety, nawet jeśli same potrzebują ratunku.

Zegar tykał niebywale głośno, gdy czekaliśmy, aby doktor Bern wrócił do gabinetu. Obgryzałem paznokcie do krwi, ale nie bardzo się tym przejmowałem. Nie mogłem skupić się na niczym, tak bardzo pragnąłem poznać wyniki badań mamy.

– Cieszysz się na myśl o festynie z okazji twoich urodzin? – zapytała, szturchając mnie w ramię. Miała na myśli imprezę z oka-

zji mojej osiemnastki, która miała być przesadnie niedorzeczna. Tak naprawdę to nie, nie odczuwałem ekscytacji. Nie pozwalałem sobie na nią, dopóki nie poznam wyników i nie przekonam się, że mama wyzdrowieje.

Tak czy inaczej, skłamałem. Posłałem jej wymuszony uśmiech, bo wiedziałem, że tego było jej trzeba.

– Tak, bardzo. Będzie cudnie. Przyjdą wszyscy mieszkańcy. Wydaje mi się, że wpadnie nawet Jax.

Ten mężczyzna był moim szefem, a ja byłem wrzodem na jego tyłku, znanym również jako jego przyjaciel. Większość mieszkańców nie rozumiała tego burkliwego koleśia, ale ja tak. Nie szło mu w życiu, ale cechowało go złote serce.

Jax nie do końca zdawał sobie sprawę, że byliśmy przyjaciółmi, prawda docierała do niego nieco zbyt wolno, ale z czasem coraz bardziej przekonywał się, że tak jest. Byłem niczym przylepa, którą ludzie w końcu zaczynali lubić.

– Oczywiście, że przyjdzie. Uwielbia cię – zgodziła się mama, ponieważ nawet jeśli Jax nieustannie krzywił się w moim towarzystwie, widziała, że darzy mnie sympatią.

Albo oboje negowaliśmy prawdę.

Do pomieszczenia wszedł lekarz, a ja po sposobie w jakim się poruszał, starałem się wywnioskować, o czym myśli. Czy przyszedł przekazać dobre czy może złe wieści? Czy na sercu ciążył mu kamień? Czy tego dnia miał być aniołem, czy diabłem?

Nie potrafiłem go odczytać.

Żołądek boleśnie mi się ścisnął, tak bardzo pragnąłem się dowiedzieć, co zapisano w dokumentach, które doktor trzymał w dłoniach.

– Dzień dobry. Przepraszam za spóźnienie. – Marszczył brwi, na jego twarzy malował się wiecznie ponury wyraz. Garbił się lekko, a ja dokładnie wiedziałem, co to oznacza.

Miał dla nas kiepskie wieści.

Rak nie zniknął.

Czy nie urósł? Czy w ciele mamy doszło do przerzutów? Czy umierała? Ile zostało jej życia? Ile czasu przyjdzie mi z nią spędzić? Czy zdola zobaczyć, jak kończę studia? Czy będzie świadkinią moich sukcesów? Czy...

Spojrzałem na mamę, której policzki były mokre od łez. Zamrugałem kilkakrotnie, niepewny, dlaczego płacze, dlaczego się załamała. Popatrzyłem na doktora Berna i uświadomiłem sobie, że na chwilę zatraciłem się w myślach nad tym, ile czasu zostało mi z mamą, moją ukochaną osobą, moją przyjaciółką.

Tak, miałem siedemnaście lat, a moją przyjaciółką była mama. Zakładałem jednak, że wiele dzieciaków czułoby się podobnie, gdyby niemal dwukrotnie obserwowali bolesne zmagania rodzieli z nowotworem.

Ból.

Poczułem ucisk w piersi.

Jakby naciskała na mnie ciężarówka, blokując dopływ powietrza do płuc. Nie mogłem oddychać.

Mama płakała.

Nie mogłem oddychać, a mama płakała.

Mnie również zbierało się na szloch.

Czułem, że oczy pieką mnie od łez, więc z trudem przełknąłem ślinę, próbując pozostać silnym. Musiałem być silny – to właśnie rola jedyne go mężczyzny w domu – co oznaczało, że musiałem się trzymać, nawet jeśli serce miażdżył mi ogromny ból.

– Słyszałeś, Connor? – zapytała mama. Drżące dłonie trzymała złączone jak do modlitwy.

Spojrzałem jej w oczy i przez chwilę wydawało mi się, że dostrzegam w nich nadzieję. Uśmiechała się, choć po jej policzkach nadal płynęły łzy. Natychmiast więc skierowałem wzrok na doktora Berna. Siedziałem i wpatrywałem się lekarzowi prosto w oczy.

Dostrzegłem te same iskry nadziei, co u mamy, a także jego uśmiech. Nie miałem pojęcia, że doktor potrafił unosić kąci

ust. Wcześniej porażał mnie jedynie swoją ponurością, a teraz zaobserwowałem cholerną radość.

– Przepraszam, mógłby pan powtórzyć? – mruknąłem, zbyt ostrożny, aby zanurzyć się w nadziei, dopóki wyraźnie nie usłyszę, jak te słowa padają z jego ust.

Zdjął okulary, nim pochylił się nad biurkiem i obdarzył mnie uśmiechem, choć nie sądziłem, by kiedykolwiek był do niego zdolny, po czym powiedział:

– Daliśmy radę, Connor. U twojej mamy nastąpiła remisja.

Opadłem plecami na oparcie, czując, że w mojej piersi pękają jednocześnie wszystkie emocje. Ogarnęła mnie przytłaczająca błogość.

Nowotwór zniknął, mama była zdrowa i po najgorszych latach mojego życia znów mogłem oddychać.

– Mamo?

– Tak?

– Zabiorę cię do cholernego Disney Worldu!

– Wyrażaj się.

– Przepraszam.

ROZDZIAŁ 1

Aaliyah

Obecnie

– Dobra, koniec z tą depresyjną aurą emo, Aaliyah. Spójrz na siebie. Wyglądasz okropnie. Jesz taki syf, że nawet koski u nóg nasz grube – powiedziała Sofia, z obrzydzeniem kręcąc głową. Nie ma to jak współlokatorka, która mówi ci, jak podle wyglądasz, aby poprawić ci nastrój.

Mruknęłam niezrozumiałą odpowiedź i przewróciła oczami.

– Widzisz? Tak się właśnie dzieje, gdy całymi dniami nie wychodzisz z łóżka, bo płaczesz za ziomkiem, który cię zdradził. Rozpaczasz za kimś, kto puścił cię kantem. Żenada. A teraz rusz dupę. Mamy Halloween. Nawalimy się.

Dzięki tej wymianie zdań z Sofią zwlokłam się z kanapy i włożyłam kostium Czerwonego Kapturka. Nie przyjaźniłam się ze współlokatorką. Mieszkałam z nią od kilku miesięcy i wiedziałam, że stanowiłyśmy swoje przeciwieństwa. Dziewczyna mocno imprezowała, a ja wolałam siedzieć w pokoju i czytać komiksy. Niestety przez ostatnie tygodnie nie byłam w stanie tego robić, bo moje łyzy moczyły kartki.

Sofia na mój widok czuła litość. Wiedziałam o tym, bo bezpośrednio i dosadnie to wyraziła:

– Kurde, naprawdę mi ciebie żal.

Tego wieczora wyciągnęła mnie na babski wieczór, po czym porzuciła w ciągu kwadransa, gdy znalazła chłopaka, z którym mogła migdalić się w kiblu.

Nie powinnam spodziewać się po niej niczego innego. W zasadzie była mi obca, a mimo to czułam, że to moja najbliższa przyjaciółka.

Beznadzieja, Aaliyah.

Przez moment stałam zażenowana, czując się samotnie w dość zatłoczonym pomieszczeniu, po czym wyszłam z baru Oscar, aby się przewietrzyć. Znow spróbowałam zadzwonić do Sofii, która nie odbierała już od dwudziestu minut. Znałam już to znikanie. Prawdopodobnie nie zobaczę jej przez kilka dni, po czym magicznie objawi się w mieszkaniu z paczką papierosów i zapasem zwariowanych historii, a następnie spróbuje wysepić ode mnie dwie dychy, by kupić losy na loterię.

Owiał mnie październikowy wietrzyk, gdy obserwowałam, jak Thor wymierza Kapitanowi Ameryce cios w szczękę. Najwyraźniej mieliśmy tu odcinek z wojną bohaterów.

Cała sytuacja rozwijała się na moich oczach. Zawsze czułam się niezręcznie, wychodząc sama, bo nic mnie nie rozpraszało. Nigdy nie stałam na ulicach Nowego Jorku z komórką przy twarzy, bo nie podobała mi się myśl, że zostanę zaatakowana przez jakiegoś psychopatę.

A przynajmniej tak działał mój umysł. Jeśli nocą będę rozmawiać przez telefon, zostanę zamordowana, kropka. Wiedziałam, że miałam nadaktywną wyobraźnię, lecz nic nie mogłam na to poradzić. Prawdopodobnie można było za to winić zbyt wiele obejrzanych odcinków serialu *Zabójcze umysły*.

Ilekoć wychodziłam za zewnątrz, żałowałam, że nie palę. Nie dla przyjemności, bo wątpiałam, aby moje płuca i serce poradziły sobie z nałogiem, ale chciałabym zająć czymś ręce. Palacze nigdy nie czuli się niekomfortowo, bo mieli zajęcie. Ja jednak mogłam tylko obserwować ludzi i, rety, natknęłam się na niezłą akcję, jaką była walka Thora z Kapitanem Ameryką.

Była tu też Wonder Woman – chociaż tej kobiety nie cechowała żadna wspaniałość. Kapitan Ameryka wyszedł z baru za

mną i wydawał się nie bać telefonować na ulicach Nowego Jorku, pewnie dlatego, że faceci byli zdecydowanie mniej narażeni na molestowanie i atak niż kobiety. *Niestety nie dziś, Kapitanie.*

Wyjął komórkę, ale usłyszał, że Thor wyzywa Wonder Woman. I miałam tu na myśli, że używał każdego brzydkiego słowa jakie znał, przysuwając się do niej w nieprzyjemny sposób. To niska kobieta, ale przy nim wydawała się jeszcze drobniejsza. Garbiła się, kolana jej drżały, gdy słuchała obrzydliwych słów faceta.

Nienawidziłam tego, jak niektórzy mężczyźni traktowali kobiety.

Kapitan Ameryka powoli opuścił rękę, w której trzymał telefon i wpatrywał się w parę, którą ja również się zainteresowałam. Czułam, że z nerwów skurczył mi się żołądek zanim jeszcze do czegokolwiek doszło.

Thor popchnął Wonder Woman na ceglany mur.

– Hej! – krzyknęłam. Wyprostowałam się zaniepokojona, gdy dziewczyna zaczęła szlochać.

Popchnęła towarzysza, ale zanim zdołała się odezwać, ten uderzył ją w twarz. Mdłości podeszły mi do gardła. Nie klepnął jej, nie spoliczkował. Zaciśnął dłoń w pięść i wymierzył jej cios.

Nigdy wcześniej niczego takiego nie widziałam, a tego wieczoru byłam świadkinią, jak oberwały dwie osoby. Nie wyglądało to jak na filmach i dotknęło mnie bardziej, niż sądziłam. Gdy nieznamoma wyjąc, chwyciła się za twarz, sama poczułam ból na policzku.

Rozchyliłam usta, aby ponownie krzyknąć i ruszyłam w ich kierunku, zanim zdołałam się powstrzymać, ale wyprzedził mnie Kapitan Ameryka.

– Odwal się od niej! – warknął, maszerując żwawo w kierunku pary. Usłyszałam jego akcent z południa. Nie miałam pojęcia, dlaczego mnie to zdziwiło. Był to głęboki głos z południowym zaśpiewem.

– Lepiej pilnuj własnych spraw – wybełkotał pijany i agresywny Thor.

– Stały się moimi w chwili, w której podniosłeś rękę na kobietę – odparł Kapitan. Nie cofał się, tylko stanął twarzą w twarz z Thorem.

Powiedz mu, Kapitanie!, dopingowałam go w myślach.

– Jest moją własnością i mogę z nią zrobić, co tylko, kurwa, zechcę – rzucił Thor.

Własnością? Co za pieprzony gnój. No kto tak mówi? Z jakiej popapranej planety pochodził ten superbohater, skoro uważał, że coś takiego jest w porządku? Zachowywał się raczej jak Loki niż wybawca Asgardu.

– Dobrze się czujesz? – zwrócił się Kapitan do Wonder Woman, nie zważając na bełkoczącego ignoranta.

– Nie zbliżaj się do niej – syknął Thor. Chwycił towarzyszkę mocno za nadgarstek i wciągnął ją za siebie, lecz ta się potknęła i upadła. Z hukiem wyłożyła się na chodniku. Wyciągnęła ręce, aby się ochronić, przez co prawdopodobnie zdarła z nich naskórek. Na myśl o jej obrażeniach przeszedł mnie zimny dreszcz.

Chłopak nawet nie spojrzał w jej stronę, aby się upewnić, że nic się nie stało, zrobił to jednak Kapitan Ameryka. Ruszył, żeby pomóc jej wstać, ale zatrzymał go Thor, wbijając pięść w jego twarz.

Żołądek znów mi się skurczył. Patrzenie jak druga osoba dostaje łomot, wcale nie było łatwiejsze niż za pierwszym razem. Czułam ogień w piersi, gdy obserwowałam scenę rozwijającą się przed moimi oczami. Najbardziej jednak zdumiewało to, że choć tak wiele osób przechodziło obok, nikt nawet nie zwrócił uwagi na awanturę.

Kapitan zatoczył się nieco, nim odzyskał równowagę. Zbliżył się do kobiety, aby pomóc jej się podnieść, jednak ta zamiast wziąć go za rękę, zachowała się jak obłąkana.

– Odwal się ode mnie i mojego chłopaka, dupku! – warknęła, wstając i otrzepując strój. Uderzyła go wielokrotnie swoim lassem, jakby wcale nie próbował jej obronić przed maltretującym ją partnerem.

O ironio!

Strzały bicza były tak głośne, że wpakowałam się w cały ten bałagan, wyrwałam broń z jej ręki i odrzuciłam na bok.

– Chciał ci pomóc! – rzuciłam, zniesmaczona wszystkim, co się tu stało.

Spojrzała na mnie przekrwionymi oczami, po czym przewróciła nimi tak mocno, że zdziwiłam się, iż nie straciła przy tym równowagi.

– Zamknij się, co? Chodź, Ronnie. Idziemy – powiedziała i chwyciła Thora za rękę.

Objął ją i pocałował w skroń, jakby wcale nie łączyła ich toksyczna relacja. Przysięgam, odeszli nawet równym sprężystym krokiem.

Halloween jest dziwne.

Żałowałam, że Mario tego nie widział. Zastanawiałam się, co on by zrobił w tej sytuacji. *Mogłabym się założyć, że wkroczyłby do akcji, by pomóc. Również był superbohaterem i...*

Chwila, nie. Pieprzyć go.

Dlaczego w tej chwili myślałam o swoim byłym chłopaku? Upiłam się? Nie, tylko było mi smutno. Zabawne, że myśli pod wpływem alkoholu i smutku były podobne.

– Cholera – jęknął Kapitan, pocierając bok głowy. Idol Amerykanów naprawdę dostał lanie. Ruszył w kierunku wejścia do baru, a ja robiłam coś, co zupełnie nie było w moim stylu – w ciągu niecałej minuty wkroczyłam do świata kolejnej osoby.

– Hej, upadły ci – zawołałam. Pochyliłam się i zgarnęłam z ziemi jego telefon i tarczę. Podniosłam przedmioty i podeszłam do niego, gdy masował żuchwę. Bardzo ładną, taką, jaką miałyby prawdziwy Kapitan Ameryka – wyrzeźbioną z boską perfekcją.

Obrócił się do mnie, a dech uwiązał mi w gardle. Był piękny. Wiedziałam, że mężczyzny nie powinno się tak określać, ale to jedyny sposób, w jaki byłam w stanie go opisać. Miał najbardziej niebieskie oczy, jakie w życiu widziałam, niemal jakby w jego duszy znajdował się ocean. Pełne, kształtne usta, a wokół nich wypielegnowany zarost. Niestety lewe oko zaczynało już mu puchnąć, jednak nie umniejszało to jego przystojnej aparycji. Gdyby nie był superbohaterem, miałam pewność, że mógłby wystąpić w reklamie Calvina Kleina.

– Muszę wyglądać tak, jak się czuję – powiedział i się zaśmiał, po czym pokręcił głową, biorąc ode mnie swoje rzeczy.

– Przepraszam, co?

– Patrzysz na mnie tak, jakbym wyglądał na pobitego, co... jest akuratne. Widziałaś całe zajście?

– Co do sekundy. – Objęłam się ciasno rękami, próbując ignorować chłód. Musiałam wejść do baru nim się przeziębę. – Tak dla jasności, Thor to kutas, a ty zachowałeś się szlachetnie.

Wyciągnął ręce i się uśmiechnął.

– To przez strój. – Stracił wesołość, gdy lekko dotknął okolic oka. – Chociaż sądziłem, że cała sprawa zakończy się nieco inaczej.

– Niech zgodnę, myślałeś, że kobieta będzie wdzięczna za wybawienie od tego tyrauna?

– Tak, coś w tym stylu.

Uniosłam brwi.

– Nie jesteś z tych okolic, prawda?

Parsknął śmiechem.

– Co, akcent mnie zdradził?

– Nie, fakt, że chciałeś pomóc. Większość Nowojorczyków zwiesiła głowy i się nie mieszała.

– Nigdy nie byłem dobry w staniu z boku. W dodatku mama by mnie zabiła, gdyby wiedziała, że olałem coś tak okropnego.

Nie wiedziałam dlaczego, ale spodobał mi się sposób, w jaki wymówił słowo „mama”. Naprawdę był chłopakiem z południa.

– Cóż, przykro mi, że nie wyszło jak w komiksach.

– To nic. – Uśmiechnął się do mnie. – Może wyjdzie następnym razem. – Wesołość w jakiś sposób sprawiła, że jego oczy zdawały się jaśniejsze niż wcześniej. Kciukiem otarł nos i skinął mi głową. – Dzięki, Kapturku.

– Kapturku?

Wskazał na mnie. Spojrzałam po sobie i przewróciłam oczami. No przecież byłam przebrana za Czerwonego Kapturka.

– No tak. Dziękuję, Kapitanie, czynicielu dobra. – *„Czynicielu dobra”?* Mogłabyś powiedzieć coś jeszcze głupszego, Aaliyah?

Uśmiechał się, omiatając wzrokiem moje ciało. Nie jak zbok, ale jak ktoś, kto mnie zauważył. Nie obraziłam się, bo zrobił to dość szybko, no i nie byłam mu dłużna.

Spojrzenie niebieskich oczu utkwiał w moich brązowych.

– Mógłbym postawić ci drinka? – zapytał. Pewność siebie, by zaproponować mi coś do picia po tym, gdy na moich oczach go pobito była inspirująca. Gdyby to mi się dostało, siedziałabym w metrze, liżąc rany i do końca życia unikając interakcji z ludźmi. Może w taki oto sposób stałabym się złolką – pobita przez Wonder Woman i Thora przed nowojorskim barem.

Ale Kapitan? O, nie. Wydawał się, jak zawsze, pewny siebie.

Zawahałam się. Z jednej strony, nie szło mi z płcią przeciwną. Z drugiej jednak, miałam do wyboru: towarzyszyć mu lub wrócić do domu, by pić wino, płakać, słuchać Taylor Swift, oglądać stare zdjęcia Mario i czytać wiadomości od niego.

– Och, Kapitanie. – Podeszłam do niego, poklepałam go po plecach. – Pozwól, że to ja postawię ci drinka. Potrzebujesz go bardziej ode mnie.